

Alpy po sudecku

Powyżej na zdjęciu Weissmies (4017 m) widziany z Lagginhorn (4010 m)

[70 alpejskich szczytów w dorobku!](#) Niektóre z nich powtórzone parę razy, a niektóre pozostały przede mną niezdobyte. Ale to wciąż 70 wejść, zejść, prób i przede wszystkim lekcji. Czy 70 to dużo? Otóż ta liczba mówi o jednym: o niczym. Można się więcej nauczyć zdobywając szczytów 7. Można też wejść na 140 i wciąż być niemal w tym samym miejscu co na początku. Ja jednak jestem usatysfakcjonowany miejscem, w którym się znajduję. W Alpach czuję się jak w domu, a na to na pewno miała wpływ ilość zrealizowanych wyjazdów.

Alpy po sudecku

Po kilku ostatnich wypadach w Sudety zacząłem się zastanawiać, dlaczego w Alpach działamy jak w zwolnionym tempie. Skoro mogę na podejściach utrzymywać odpowiednią prędkość w niższych górach, to dlaczego podobnie nie ma być gdzieś wyżej? Dlaczego w Sudetach pokonuję wraz z przewyższeniami [20km w 3,5h](#) a tymczasem w Alpach wlecemy się 1/3 tego dystansu przez pół dnia. Skoro mogę [przeszurać na biegówkach](#) 50km z kanapką, batonikiem i bez namiotu, to dlaczego w Alpach muszę na zaplanowane 20km trasy mieć zestaw garnków, reklamówkę jedzenia oraz ważący ponad 3kg wyprawowy namiot. Czas przenieść sudeckie doświadczenia na wyższy poziom.

Przygotowania

Na celownik wzięłem szczyty Lagginhorn i Weissmies. Oba są szczytami technicznie łatwymi, jednocześnie ich wysokość nieznacznie przekracza 4 tys. metrów. Nieśmiało zerkałem też na mapie w stronę Fletschhorna (3993 m), ale pamiętając nauki z poprzednich lat, kiedy to chciałem „więcej i więcej” a na koniec była figa z makiem – tym razem temat 3-go szczytu na trwającym 2 i pół dnia wyjściu w góry odpuściłem.

Niesłusznie.

Kluczem było odchudzenie plecaka. Wziąłem niemal tylko to, co niezbędne, więc zrezygnowałem chociażby z namiotu, zapasowych majtek i skarpetek. Pewnie, że jeszcze kilka drobiazgów można było odrzucić (syczoryk, zapasowe baterie do czołówki, soczewki, zapasowa koszulka), ale zostawiłem sobie potencjał na kolejne akcje. Wejścia na szczyty i tak dokonywane były zupełnie na lekko, a w przypadku potrzeby przemieszczenia się z całym dobytkiem było to przedsięwzięcie znacznie łatwiejsze i przyjemniejsze.

Sprawdził się po raz kolejny patent z przygotowywaniem porcji jedzeniowych na zasadzie: „to zjem w piątek rano, a to wieczorem, a to w sobotę rano” itd. czyli bez wrzucania jedzenia do plecaka metodą „na czuja”. W rezultacie zniosłem do samochodu jeden kisiel, jedną torebkę herbaty oraz 2 batoniki (te batoniki miały być zjedzone ostatniego dnia, ale kompletnie nie miałem apetytu). Noszenie zbędnego balastu w postaci jedzenia to najczęstszy i najbardziej odczuwalny przez nasze ramiona powtarzany do tej pory błąd. A przecież... z głodu się jeszcze nikt nie zesrał!

Akcja nr 1

Nie zanudzając, by było krótko i słodko: pierwszego dnia po wyjściu z kolejki Saas Grund-Kreuzboden (2400 m) odczekuję chwilę, by dołączył do mnie Maciek (ostatnio wspólnie wędrowaliśmy aż 8 lat temu, podczas [zdobywania najwyższego szczytu Uralu](#)) i ruszamy z całym dobytkiem na górę. Była to godzina 9:30. Na wysokości nieco ponad 3000 metrów zostawiamy część rzeczy i dalej idziemy już tylko z paroma rzeczami w plecaku. Wśród nich picie, czołówka, kurtka, czekan i raki (oprócz picia pozostałe artefakty okazały się niepotrzebne). Na szczycie Lagginhorn o wysokości 4010 m n.p.m. staję o 13:50, zatem od budynku kolejki wejście zajęło 4h20'. To niemal 400mH na godzinę, więc całkiem satysfakcjonująco. Do tego część drogi pokonana z kompletem zabranego bagażu (ze

względu na odchudzony na tym wyjeździe plecak było to zupełnie nieuciążliwe) no i niemal bez przerwy nawijając z Maćkiem na przeróżne tematy (spotkanie z tym [wyjątkowym człowiekiem](#) to był dla mnie hit sezonu).

Ogólnie to styl był w pełni sudecki, czyli taki, jaki miał być. Podczas całego podejścia na szczyt nie odczułem żadnych oznak zmęczenia czy zadyszki. Myślę, że tego dnia mogłem dać z siebie znacznie więcej, ale nie takie były założenia.

Późniejszym popołudniem schodzimy do zdeponowanych pod kamieniem rzeczy i po chwili jesteśmy gotowi do wymarszu pod kolejny 4-tysięcznik. Robimy tu coś niezrozumiałego, gdyż zamiast trawersować zbocze ścieżką i bez utraty wysokości dostać się do celu, my postanawiamy zejść do skrzyżowania na wysokości 2800 m i stamtąd szlakiem po raz kolejny wspinać się na wysokość 3100 metrów. Ewidentnie energia nas rozpierała, byliśmy jak małe dzieci na nowym placu zabaw.

Wieczorem udaję się na spacer odwiedzić naszych kolegów, którzy rozłożyli namiot w pobliżu lodowca. Do naszej bazy noclegowej, jaką okazał się nieco zrujnowany, stary budynek kolejki, wracam dopiero koło godziny 22-giej. Ogólnie czuję się mentalnie tak dobrze, jak nigdy wcześniej w Alpach. Podobno „*kiedy mężczyzna wychodzi w góry, to wraca do domu*„ [John Muir]. Ja tego dnia właśnie tak się czuję.



Bryle na nosie i radosna mina, to Maciek i Dzik – pędzą na Laggina!



Na zachodniej grani
Lagginhorna



Lagginhorn – 4010 m n.p.m.

Akcja nr 2

Po zaledwie paru godzinach snu, koło 3:30 znów wychodzimy w góry. Niepotrzebne podczas ataku szczytowego rzeczy deponujemy przy namiocie kolegów. Na lodowiec wchodzimy koło godz. 4-tej w zespołach: Dziku z Maćkiem oraz Łukasz z Piotrkiem. Już około godziny 7:30 stajemy na szczycie. Droga nie była łatwa, gdyż prowadziła po stromym i mocno poszczelinionym lodowcu. Wysokie temperatury odcisnęły swoje piętno: ścieżka urywała się czasem na zawałonym moście śnieżnym a zaledwie 4 dni przed nami nastąpił tu duży obryw seraków. Bez większych problemów jednak zdobywamy najwyższą górę w tym masywie – Weissmies (4017 m).

O 10-tej jesteśmy już przy namiocie. Maciek zmywa się do miasta i wraca do domu. Piotrek i Andrzej decydują się jeszcze

wyjść na Lagginhorn, a ja z Łukaszem lenimy się niemożliwie. Korzystam z tego, że jest miejsce w namiocie i w bezlitośnie dopiekającym słońcu autentycznie cały dzień leżę (muszę to tu zapisać, bo pewnie kiedyś nie będzie mi się chciało w to uwierzyć).

Podnoszę tyłek dopiero koło 21-wszej. Zabieram cały dobytek i idę się skitrac do mojej tajnej i nielegalnej kryjówki. Już niemal w zupełnych ciemnościach spotykam zmierzających do namiotu Andrzeja i Piotrka. Ten drugi słania się na nogach. Ma prawo, bo pozamiatał system – w niespełna 20h wszedł na dwa 4-tysięczniki, w dodatku podczas swojego pierwszego w życiu wypadu w Alpy. No cóż, można wiele, wystarczy tylko nie wiedzieć, że czegoś tam „nie da się”. Tego dnia wszyscy 3 uczestnicy wycieczki stanęli na swoim pierwszym 4-tysięczniku. Wszystkim im należą się gratulacje.

Krzątam się po okolicy do samej nocy. W tych dniach odczuwam całkowity spokój. Podczas wypadów na szczyty czuję, że wszystko jest pod kontrolą, więc tym bardziej po zejściu z lodowca nie przejmuję się niczym na wyrost. W tym miejscu bardzo dziękuję Asi i Adze za częste podsyłanie prognoz pogody, bo to też powodowało, że nie martwiłem się na zapas.



Bardzo ładne zdjęcie autorstwa Łukasza, a po środku kadru stoi Dzik



Piotrek i Łukasz na
podejściu na Weissmies



Piotrek i Łukasz na grani
Weissmies



Na szczycie Weissmies (4017
m). Od lewej Piotrek,
Maciek, Łukasz i Dzik (z
błyskiem w oku hehe)



Maciek na najbardziej emocjonującym fragmencie podejścia na Weissmies



Lodowiec pod Weissmies, częściowo widoczna ścieżka oraz jedna z grup na lodowcu

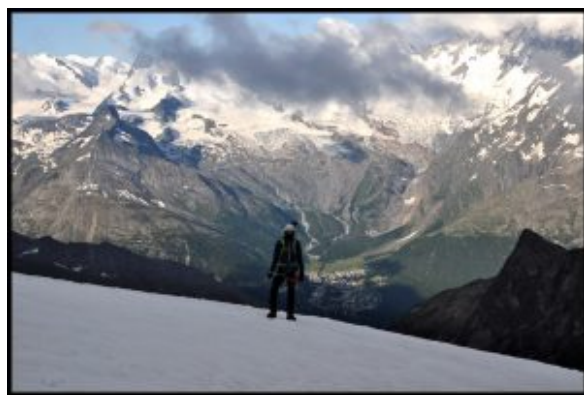
Akcja nr 2 i pół

W ostatni dzień wyszliśmy z Łukaszem na wspomniany wcześniej (piękny zresztą) szczyt Fletschhorn. Przeczytane kilku zdań opisu trasy nie wystarczyło by osiągnąć sukces. Tylko 2 zdania przeczytałem ze zrozumieniem tekstu, a pozostałe 2 na odpiernicz. I w ten sposób powyżej 3500 metrów mylę trasę i schodzimy na lodowiec. Idziemy po nim łukiem, docieramy do grani na wysokość ok. 3850 m i tam natrafiamy na wyraźne, głębokie odciski stóp. Co ciekawe, przez całą drogę do tego miejsca widziałem ślady, które w rzeczywistości nie istniały. Tak naprawdę dopiero teraz jesteśmy na właściwej drodze, ale jesteśmy już nieco zmęczeni psychicznie. Trasa była niełatwa z

powodu warunków – brak widoczności, spore nachylenie i oblodzenie, do tego silny wiatr na grani, który może bardzo szybko spowodować odmrożenia na twarzy. Zresztą pierwsze objawy już są po nas widoczne. Wracamy tą samą drogą, którą tu weszliśmy. Opuszczamy niegościnną strefę i wkrótce zasuwamy w pełnym słońcu wśród uroczych alpejskich krajobrazów jak z widokówek.



Przy tych skałkach spękaliśmy. Szczyt był nieco na prawo i dzieliło nas od niego zaledwie 150 metrów w pionie. Ale było to i tak wartościowe i pouczające doświadczenie



Łukasz na zboczach Fletschhorna a w tle miasteczko Saas Fee



Fletschhorn (3993 m n.p.m.)
– jeden z najładniejszych
„prawie czterotysięczników”



Widoczki na drodze
zejściowej do Saas Grund

Ten wyjazd był dokładnie taki, jaki miał być. Fletschhorn już na wstępie zignorowałem i przez to na niego nie wszedłem. Następnym razem podejść do planowania nieco bardziej ambitnie. Chociaż z drugiej strony: 2 i pół dnia w górach i 2 i pół zdobytych szczytów – to chyba niezły wynik.

Dziku

PS. Z ostatniego dnia wynieśliśmy ważną naukę: „Jeśli znosisz z góry przesылkę do WC i zamykasz się w kabinie mentalnie nastawiony na finał za 3 sekundy, to upewnij się, że wcześniej ściągnąłeś uprząż.”